№ 8. Warszawa, dnia 9 (21) Lutego 1885 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

STUDYA LITERACKIE.

O „POGANCE" NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ.

PRZEZ

Józefę Zdżarską.

Jeden ze znakomitych myślicieli naszego wieku powiedział: że wielcy przodownicy ludzkości, nie dają tematów do długich biografii. I w istocie, jednostki te uprzywilejowane od Boga, żyją odmiennie niż zwykli ludzie, przeważnie życiem ducha; oddani ukochanej idei, dążności, nie mają czasu zespolić się bliżej ze szczegółami życia powszedniego, ani wziąć czynniejszego w rzeczywistości udziału. Życie więc ducha jedynie, jego rozwój stopniowy, jego działanie samodzielne, owoce tego działania, oto z czego się składać może biografia takiej jednostki. Na nieszczęście, po większej części nie mamy takich danych z życia duchowego wielkich ludzi, szczególniej z pierwszych lat, w których się człowiek urabia, takiemi danemi byłyby tylko pamiętniki matek wielkich ludzi, któreby w dziecku, przyszłej gwieździe ludzkości, aureolę nad niemowlęcem czołem dostrzegły. Ale prawdziwa znakomitość sama się w swoich dziełach przedstawia, bo wielki człowiek jest zarazem kapłanem, który słowa swoje czynem popiera, po nich więc poznać go można.

Jedną z tych duchowych wyższości jest bez zaprzeczenia Narcyz Żmichowska, znana pod pseudonimem Gabryeli. Była to gwiazda pierwszorzędna na niebie świata niewieściego, której blask iść może bez zaprzeczenia o lepsze, z niejedną gwiazdą z męzkiej dziedziny. Blask jej przytem jest pełny, harmonia w nim doskonała, bo jasność ducha idzie w parze z jasnością moralną. W całem też jej życiu nie ma ani jednego fałszywego tonu, nic takiego, coby sumienny biograf zmuszony był pokryć milczeniem. Przeciwnie, wszystko domaga się dziennego światła, aby cenne klejnoty tej wielkiej duszy, jak brylant w dobrej oprawie, właściwem zajaśniały blaskiem. A jeżeli brzmiały w jej piersi jakieś słabsze tony, to tylko właściwe każdej ludzkiej naturze, której duch tu na ziemi, najwyższej, zupełnej doskonałości dosięgnąć nie jest w stanie.

Pisma Gabryeli, to ona sama, bo taki siostrzany związek zachodzi pomiędzy nią, a jej piórem. Ona nie skłamała nigdy życiu swemu słowem, ni życie nie zaprzeczyło jej słowom, owszem, słowo nie dokończyło, nie dopowiedziało, co dało nam jej życie. Ono było jednym wielkim, skończonym poematem, którego część najpiękniejsza, w poważnem, wspaniałem milczeniu odegrała się w jej duszy.

Biografia więc jej cała, mieści się w jej pismach, w nich duch jej objawia się stopniowo, duch jednakowo zawsze tak jednolity, jak posąg z marmuru, wykuty ręką mistrza.

Pomimo tej niezaprzeczonej wielkości, pisma Gabryeli nie dosyć rozpowszechniły się w kraju, nie doczekały się nawet ozdobnego wydania z illustracyami, a jestem przekonana, że jej postacie wspaniałe, prawdziwe posągi, to z marmuru, to ze spiżu, sytuacye jej bohaterów i bohaterek, niejednego by mistrza ołówka natchnęły, dałyby nam pełne arcydzieła, uwydatniające krajowi, jedną z najgenialniejszych kobiet naszych.

Ale wszystko co wielkie, co ma przetrwać dłużej niż życie człowieka, dojrzewa powoli; otóż z tej prawidłowości biorąc miarę, przeczuwam, że chwała Gabryeli wzrastać będzie z latami. Lecz nim to nastąpi, nieśmy drobne cegiełki do jej piedestalu, według sił i możności, byśmy na nim piękną jej postać w całej okazałości ujrzeć mogli. Duch to był niepospolity, jasno, głęboko pojmujący życie, jego obowiązki i cele, sięgający wzrokiem daleko. Wszechstronne, samodzielne ukształcenie, pozwoliło jej zagłębiać się w ducha ludzkiego, którego z miłością studyuje, śledząc jego objawy, w najdelikatniejszych szczegółach, najlżejszych odcieniach.

Czysta sama uczuciem i myślą, jak kryształ ujrzała jednakże od razu ujemną stronę życia, jego mroki i cienie, dosłyszała dysharmonię tonów w ogólnej harmonii i serce, duch jej cały wcześnie

przybrał suknię żałoby, wylewając w poezyi rymowanej i nierymowanej, prawdziwe niekiedy jęki Joba i Jeremiasza. Ale umysł wyższy nie przestanie na samych jękach bólu, on się zapyta czemu tak, a nie inaczej się dzieje. Więc też Gabryela w ciągłych niepokojach myśli, uczuć, jak zwykle w młodości, poczyna badać, wątpić, pytać, oczekując z trwogą, z nadzieją, utęsknieniem odpowiedzi, ale nie może jej usłyszeć, ni z nieba, ni z ziemi, choć dla pierwszego ma nieograniczone uwielbienie, zachwyt, ekstazę ducha, dla drugiej miłość głęboką. Im więcej spostrzega niedoskonałości, chorób duszy, wszelkiego zboczenia, od prawidłowego pochodu jednostek społeczeństwa ku światłu, Bogu, tem więcej skupia się w sobie i rozmyśla nad przyniesieniem skutecznego lekarstwa na choroby moralne, balsamu, gojącego nieuleczone nawet rany. I w końcu, jak Archimedes może wykrzyknąć „Eureka!" Tak jest, i ona znalazła, odgadła dźwignię świata, której punktem oparcia, miało być serce człowieka, ściśle z rozumem połączone, rozpłomienione miłością wszelkiego dobra.

Tę miłość wszechstronną, uszlachetniającą, ożywiającą wszystko, Gabryela uwydatnia w swych pismach, każe ją przyjąć za normę życia, ale miłość jako całokształt, nie cząstkę jej choćby najjaśniejszą, niejeden więc promień, lecz całe słońce życia. Czyż to nie najdoskonalsze pojęcie przeznaczenia, dążeń człowieka, mieszczące się w miłości obowiązku, życia, ludzi, prawdy, sprawiedliwości, dobra, wszelkiego piękna, słowem światła, Boga. Ale Gabryela przedstawia po największej części brak miłości w swoich bohaterach, jej skrzywienie, złe, że tak powiem jej umieszczenie, jak w „Pogance", w „Książce pamiątek", w „Białej Róży". Lecz wśród błędnych ogników i ognia co nie grzeje, ale pali, biją i jasne strumienie światła, zwykle uosobione w jednostkach, które daje poznać w prześlicznych obrazkach i bogatej galeryi typów, tak mężczyzn, jak kobiet, bo nawet jej „List", najjaśniejszy, najczystszy brylant jej pióra, nie jest czem innem, tylko cudną galeryą obrazów, gdzie każda postać, jak zwykle postać niby z marmuru wykuta, musi stanowić pełną harmonię, musi prawidłowie wszelkim warunkom piękna odpowiadać. Gabryela więc, niby rzeźbiarz mistrz, przedstawia swoich bohaterów i bohaterki, przeważnie w charakterystycznych posągach, wielu z nich nie daje pozornie żadnej roli do odegrania, bo jej potężne charaktery same wypełniają ramy, nie potrzeba im akcesoryi żadnych. Serce też na widok tych pięknych postaci bije nam niewysłowioną rozkoszą, chęcią podniesienia się ku tym ideałom, wzniesienia się na podobne piedestały, lecz zachwycają nas nietylko siłą moralną i duchową, ale i pięknością plastyczną. Kwestye życiowe nawet, jakie znakomita autorka rozwija słowem swoich bohaterów, są pełne plastyki, a chociaż w maszyneryi, w architektonice, że tak powiem jej utworów, intryga powieściowa prawie żadna, za to dramatyczność sytuacyi, jej bohaterów i bohaterek, ciepło, ogień, fantazya, ruch, światło; słowem, trzy zasadnicze idee życia: dobro, piękno, prawda, ukazują się oku, duszy naszej uplastycznione, tak żywo wszystkie jej obrazy, malowane z ogniem fantazyi, ciepłem serca, bogactwem poezyi, świeżością uczucia, przemawiają do duszy naszej.

Prócz wyżej wymienionych zalet, pisma Gabryeli odznaczają się wyraźną tendencyą, w których każda postać z osobna jest żywą nauką. Żmichowska nie napisała nigdy żadnego traktatu o wychowaniu, nie wdawała się w kwestye filozoficzne, a jednakże, powieści jej: „Biała róża", „Książka pamiątek", „Kasia i Marynka" i „Czy to powieść", więcej wskazówek co do wychowania dzieci, każdej matce dać mogą, niż niejedna praca czysto pedagogiczna, więcej w nich znajdziemy filozofii, nauki życia, niż w niejednym traktacie, roszczącym sobie prawo, do miana filozofii.

Utwory jej nadto, noszą cechę mistrzowskiej jedności; w raz obranym kierunku, uwydatniają się rozmaite stopnie i siły miłości, jej coraz wspanialsze uszlachetnienie, coraz większe zbliżenie do ideału. W Pogance, widzimy np. miłość niby greckiej Hetery, bo czystej kochanki nie znała starożytność, wyjątek stanowi Antygona. Poganka jest zmysłowo wszechpotężnie piękna, z iskrą geniuszu, umie władać swoją bronią, uwydatnić i spożytkować całe swoje bogactwo, szczęścia jednakże dać nie może, zdolna jest tylko ogniem wulkanicznym spalić go i w popiół zamienić. Beniamin ma w swej duszy czyste, potężne siły do kochania, ale miłość jego, nie po chrześciańsku pojęta, pochłania go całego, nie podnosi lecz poniża i w nicość go wreszcie zamienia.

W powieści „Książka pamiątek", Marya Regina podnosi się już wyżej, a chociaż postać jej, ma w sobie spokój kamienia, lecz odmiany dyamentu. W życiu jej była jednakże chwila poczucia wielkiej miłości, ale chwila tylko, jak błysk dyamentu. Na swój sposób jest egoistką, kocha wprawdzie brata, raczej jego chwałę, którą wypiastowała, nie przedstawia więc doskonałej miłości, bo dla miłości rodzinnej, złamała dwa serca bezlitośnie.

Ludwik kocha już doskonalej kobietę wybraną, stoi wyżej miłością czystą, więcej zbliża się do ideału, lecz nie umie ostać się na swym piedestale i w końcu okazuje się człowiekiem w całej swej słabości.

W powieści p. t. „List", bohater i bohaterka wznoszą się do wysokości ideału. Tu Gabryela przedstawia miłość doskonałą, tak w osobie kobiety jak mężczyzny.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PROŚBA.

Boże! za łask Twoich zdroje,
Jaką Ci złożę podziękę?
Serce Tobie niosę moje,
W korną przelane piosenkę.

Ty je ocenisz; dla Ciebie,
Odkryte tajniki ducha!
Osądź mnie! przytul do siebie,
I mojej prośby wysłuchaj.

Ojcze! wśród walk tego świata,
Gdzie żar nam kładą na ramię,
Daj mi dla bliźniego brata,
Współczucie i pobłażanie.

Gdy przez ciernie, ścieżki kręte
Dążąc, ludzkość się mozoli,
Niech mi Twoje ramię święte,
Da moc słodzenia niedoli.

Niech wola Twoja spełniona,
Niech będą spełnione cele,
Niechaj wśród bratniego grona,
Widzę uśmiech i wesele.

A w chwilach, gdy jad zdradliwy,
Pycha w sercu nam rozplenia,
Daj mi Ojcze dobrotliwy,
Czystość myśli i sumienia!

Niech moją piosnkę ubogą,
Tchnienie Twej łaski bogaci,
Niech zawsze serdeczną drogą,
Niosę pożytek mej braci...

M. Rodoć.

NA DRODZE I BEZDROŻU.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

E. Zoryana.

(Dalszy ciąg.)

Alfred pisywał rzadko, wydawał coraz więcej pieniędzy, nie wracał, bo, jak się tłomaczył, zatrzymywały go studya we Wiedniu. W rok dopiero po urodzeniu się siostrzeńca przybył do Strzałkowa.

Odmienił się bardzo. Urósł, chociaż nie zmężniał; wąs miał już spory, angielskie faworyty podnosiły piękne rysy, oczy straciły dawny ognisty blask. Włosy podług najświeższej mody uczesane, bujne, połyskliwe odbijały rażąco od bladej, zmęczonej, zestarzałej cery. Dawniej żywy niezmiernie, dziś wyglądał poważnie, czy też tylko na takiego pozował.

Witano go serdecznie, ojciec tylko był zimny. Helenka nie pojmowała tego. Znała dawną miłość ojca dla Alfreda, dochodzącą nieraz do uwielbienia, potem zmienił się wprawdzie, ale przypisywała to nieszczęściu, które go w ogóle zobojętniło na wszystko. Od roku wszakże znowu był innym, poweselał, więcej czułości okazywał Włodzimierzowi i Helence — dlaczegoż więc był takim chłodnym dla syna...

Nie pytała wszakże, sądząc, że z czasem się to zmieni.

Nie mniej zmienionym w postępowaniu był Alfred. Ani słówko głośniejszej radości nie wybiegło mu z ust. Mówił mało, jakby żałował słów dla swoich najbliższych. Na zapytania Włodzimierza co robił we Wiedniu, odpowiadał: uczyłem się i kończył gestem dość lekceważącym.

Istotnie, wyglądał na uczonego. Milczący, poważny, spokojny, przesiadywał długie godziny w swoim pokoju, który urządził wykwintnie. Szafy zapełnił książkami, na stołach leżały dzienniki naukowe; często nawet widziano go piszącego.

Pierwsze urodziny Józia, postanowiono obchodzić uroczyście, na co się dziadek chętnie zgodził. Liczny zjazd sąsiedztwa miał zarazem posłużyć do wprowadzenia Alfreda w świat obywatelski. Ułożyła to Helena z mężem, naturalnie nic bratu nie mówiąc.

Zaczęły zajeżdżać powozy, bryczki i wózki, dwór zapełniał się gośćmi, gospodyni domu była rozpromieniona, szczęśliwa. Pierwszy to raz przyjmowała tak liczne sąsiedztwo.

Stary Zagórski witał sąsiadów i przedstawiał syna, którego pamiętano młodym jeszcze chłopcem. Winszowano ojcu tak statecznego młodzieńca, który w ogóle zrobił bardzo dobre wrażenie. Ale już po paru godzinach zaczęto mu się dziwić. Taki młody — mówiono — a poważny jak stary. Ktoś nazwał go anglikiem, chociaż nikt na pewno nie wiedział, jak anglicy wyglądają. Postanowiono rozruszać Alfreda i dowiedzieć się od niego samego, jakim jest.

— Panie Alfredzie! — zawołał pan Bronikowski, poważny i powszechnie szanowany obywatel— a prosimy do nas trochę. Przybywasz pan ze świata, powiedz że nam co nowego.

Alfred uśmiechnął się nieznacznie.

— Nowin macie panowie dość w gazetach...

— Ho, ho, a zaraz wymówka! Alboż to mamy tak wiele czasu, aby dużo gazet czytywać, a zresztą i w gazetach wszystkiego nie znajdzie — odezwał się zażyły szlachcic, który pewno oczu sobie nie psuł czytaniem.

— Przybywasz pan ze stolicy monarchii, a tam przecież wiele ciekawych rzeczy się dzieje.

— Radbym panom łaskawym uczynił zadość, ale mię nowiny chociażby wiedeńskie nie wiele zajmują.

— Tak to się mówi, panie dobrodzieju, a nie wiedzieć nie można...

— Jeśli ktoś nie ma nic do roboty — odparł Alfred.

— Odbywałeś pan podobno studya — zagadnął znowu pan Bronikowski, któremu początek rozmowy przerwano.

— Tak jest i to nie pozwoliło mi zajmować się nowinkami.

— Źle pan zrozumiałeś nas, nie o nowinki miejskie, ale o ważniejsze chodziło nam wiadomości. Co też tam słychać nowego w polityce?

— Nie wiele, a panowie tu bez porównania częściej polityką się zajmujecie...

— Czyż to nie jest sprawa ważna?

— Bez wątpienia — mówił Alfred — polityka stanowi dziś przedmiot najważniejszy, ale nie ta polityka zaściankowa, którą się na wsi zabawiają. Tu panowie inaczej pojmujecie rzeczy, aniżeli tam, u steru. Wy tu bijecie całe mocarstwa, przepowiadacie wojny, zwołujecie kongresy na własną rękę i na rachunek Bismarcka tworzycie plany o jakich mu się nie śniło... Tej polityki we Wiedniu nie spotkałem.

Pan Bronikowski zmarszczył trochę czoło. Nie podobały mu się słowa Alfreda, rzucone lekko, niby od niechcenia, krytykujące z góry politykę wiejską, bez jej znajomości. Ale szlachta otaczająca młodzika, choć ją zgromił, nie pogniewała się owszem zaciekawiły ją słowa Alfreda, bo zapowiadały, że wie wiele.

— Może to i prawda, coś pan powiedział—odezwał się ktoś — ale cóż my mamy robić. Polityka weszła nam w krew, bo od niej oczekujemy wiele, wszystkiego może...

— Nie chciałem nikogo dotknąć, ale musiałem powiedzieć prawdę — mówił Alfred — przepraszam więc. Co do polityki, to mam prawo dziwić się panom, że tyle w niej pokładacie wiary. Polityka nie zajmuje się nikim, kto sam o siebie nie troszczy. Miałem we Wiedniu wiele sposobności przekonać się o błędach, jakie u nas w kraju ciągle się popełnia. Tam, panowie, lekceważą nas, bo nic nie robimy...

— Jakto nie robimy?! — zawołano.

— A chciałbym wiedzieć co panowie robicie? Czytacie gazety i to nie zawsze, politykujecie o równowadze europejskiej, a w kraju tymczasem złego coraz więcej. Gospodarka zła, długi rosną i powaga nasza upada zupełnie.

— Cóż my mamy robić właściwie?

— Macie panowie autonomię, macie sejm, a wszystko jeszcze nie doskonałe. O pracy organicznej, którą się dźwigają narody i państwa, tu mało kto słyszał, a jeszcze rzadziej kto rozumie...

Na czole pana Bronikowskiego mars już był widoczny.

— Przepraszam cię, panie Alfredzie, ale jedną muszę ci zrobić uwagę.

Wszyscy zwrócili oczy na mówiącego.

— Cenię bardzo naukę i wiem, że za granicą wiele można się dowiedzieć, ale ażeby sądzić o kraju, trzeba być starszym, doświadczeńszym i przedewszystkiem trzeba go znać...

Na ustach Alfreda zaigrał znów uśmiech, który teraz stawał się u niego steryotypowym. Pod powłoką konwencyonalnej słodyczy, była w nim spora doza lekceważenia. Wyprostował się i skłonił lekko głową ku mówiącemu.

— Szanuję wiek zawsze i wszędzie, ale stanowczo nie zgadzam się, aby on jedynie dawał prawo wyrokowania o sprawach ważnych, dotyczących np. przyszłości kraju. Przyszłość ta wypływa z teraźniejszości, a wie o tem każdy, że najbliższe jutro powoła nowych pracowników na pole spraw społecznych i krajowych. Dziś należy do starszych, jutro do młodszych, do których ja się zaliczam. Wszak tak?

— Naturalnie — zawołano.

— Otóż licząc się do tych, którzy kiedyś, może niebawem, staną do pracy w kraju i dla kraju, dziś już muszę się przygotować do tego zadania. Powiedziałem umyślnie, że przyszłość wypływa z teraźniejszości, ażeby zaraz wykazać, iż obowiązkiem naszym jest badanie tego, co się robi obecnie, ażeby wiedzieć jak postępować wówczas, gdy nas kraj powoła do pracy. Więc uczymy się pilnie wielu rzeczy, a przedewszystkiem patrzymy na działalność kraju, na jej strony dodatnie i ujemne. Ztąd wypływa moja krytyka.

— Ale to wcale nie zbija mego twierdzenia — mówił pan Bronikowski powoli — że do ocenienia tego co się w kraju dzieje, trzeba w nim żyć i trzeba doświadczenia.

— Nie zupełnie. My młodzi uczymy się łatwiej i poznajemy prędzej to, co było przed nami, lub jest nam współczesnem. Dar pojmowania i oryentowania się zastępuje nam doświadczenie. Co zaś do pobytu w kraju, to racya po stronie pańskiej jest tylko pozornie. We Wiedniu rozstrzyga się wszystko co nas dotyczy, tam wiedzą o wszystkiem, tam więc można się nauczyć więcej, aniżeli siedząc tu na zagonie...

Argumenta Alfreda, zrobiły na obywatelach wrażenie. Jeden tylko pan Bronikowski nachmurzał się coraz bardziej.

— Nie zgodzę się na to nigdy, co powiedziałeś, panie Alfredzie; na zagonie można się także czegoś nauczyć, bo poznaje się czego nam potrzeba, a co już mamy. Zresztą w kraju po za zagonowymi oraczami są jeszcze inni ludzie, których praca ma szerszy zakres. Tego we Wiedniu niepodobna się dowiedzieć, co ci ludzie robią...

— Przykro mi bardzo, że muszę oponować tak poważnemu obywatelowi, ale bronię sprawy własnej i sprawy słuszności. Chcę być użytecznym krajowi i gotuję się do tego. We Wiedniu pozawiązywałem stosunki, które mię pouczyły bardzo wiele. Jest tam liczne koło Polaków, którzy kraj znają, z ich ust słyszałem zdania i na nich się opieram. Nietylko studya mię zajmowały, ale i sprawy społeczne, krajowe — więc pochlebiam sobie, że je poznałem dość dobrze — resztę zdobędę pracą, a kiedyś może mi szanowny pan przyzna słuszność.

Rozmowę przerwały zaproszenia do obiadu. Alfred poszedł pomagać ojcu w spełnianiu obowiązków gospodarskich. Bronikowski machnął nieznacznie ręką, ale inni powtarzali sobie na ucho:

— Zuch chłopiec, a głowa, ho, ho!

Zrobił wrażenie.

Taki człowiek jak Alfred, był nowością w powiecie. Przypatrywano mu się ciekawie, chociaż niejednemu brakło daru obserwacyjnego. Poczciwi ziemianie przychodzili z sercami otwartemi, bo ten gość nowy, to krew z ich krwi, kość z ich kości, to syn obywatela powszechnie szanowanego i lubianego. Może i nieszczęście, jakie Zagórskich dotknęło, przyczyniło się do wywołania tak wielkiej sympatyi dla Alfreda.

Szlachta nasza, zasiedziała na zagonie, ma tę właściwość, iż łatwo się uprzedza i nie umie patrzeć na zimno. Uprzedzenie to w kierunku dodatnim może silniej się objawia, aniżeli w ujemnym. Skorsi są do miłości, aniżeli do nienawiści. Jak kochają, to całem sercem i pod niebiosa gotowi wynieść człowieka wpierw, nim jeszcze zasłużył na takie wywyższenie. Zawodzą się potem czasem, ale są niepoprawni. Zawsze w nich serce jak na dłoni, zawsze ta skorość do kochania i uprzedzania się w ogóle, góruje po nad ścisłą rachubą.

Do tak zwanego trzeźwego, chłodnego sądu trudni są. Powoli uczą się i tego, ale na to potrzeba lat długich, doświadczeń nieraz bardzo kosztownych.

Dobrze to, czy źle — nie nam sądzić.

Tak było i z sąsiadami Zagórskich.

Olśnił ich młody człowiek, bo błyszczał polorem wielkoświatowym, rzucał niby światłem magicznem, uczonymi frazesami, zdaniami światłemi, aforyzmami, z po za których wyglądała wiedza i gorąca miłość spraw publicznych.

Nie dosłyszeli w głosie jego tonu ironii, który tam przecież silnie się odzywał, nie dostrzegli w uśmiechu pewnego odcienia lekceważenia — bo na chłodno nowego gościa nie sądzili, sądzić nie chcieli. Z dobrem uprzedzeniem zbliżali się do niego i cieszyli się z góry, że taki to człowiek w pośród nich miał swą kolebkę, a kiedyś tu, na tym zagonie osiądzie. Będzie z niego pociecha i chluba, a dziś już, tam na wielkim świecie zaszczyt czyni swoim najbliższym. Niechże tam owi mądrzy i dumni panowie wiedzą, iż nietylko w pałacach rodzą się ludzie, którzy błyszczeć mogą, że nie od hrabiowskiej dopiero korony zaczyna się rozum!

Szlachta rolnicza, że sobie tak pozwolimy nazwać sąsiadów Zagórskiego, nie rwie się do świata wielkiego, czasem go nawet lekceważy — a jednak nie gniewa się bynajmniej, gdy ktoś z jej łona da się w tym świecie poznać i mile tam jest widziany. Wtedy wołają:

— A co? toż i myśmy nie wilcy, toż i my potrafimy pomiędzy panami być takimi, jak oni. Szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie! Tak bywało dawniej, a dziś miałożby być inaczej?

Takiemi poglądami rządząc się, nie spoglądali z niechęcią na Alfreda, na którym znać było otarcie się o ów świat wielki. Ze słów jego wyrozumieli, że w pałacach i przepysznych salonach nie czynił im wstydu. Więc przygarnęli go do siebie, urabiając mu w jednej chwili stanowisko reprezentanta ziemiaństwa.

Przez taki pryzmat patrząc na młodego człowieka, nic dziwnego, że nie dopatrzyli się w nim niczego złego.

Uprzedzenie dodatnie zaważyło na szali powodzenia Alfreda w pośród swoich.

Zrozumiał to od razu i rad był temu. Nie myślał jednak schlebiać nikomu z osobna, ani wszystkim razem. Przeciwnie, drogą raz obraną szedł dalej, widząc, iż nią trafia do serc zacnych, do przyjaźni tak skorych.

Po obiedzie dysputował jeszcze z kilkoma sąsiadami, mówił o potrzebach kraju, o pracy społecznej jako doświadczony polityk, szafował frazesami i olśniewał niemi nie jednego.

Głos jego miły, dźwięczny, melodyjny, rozbrzmiewał ciągle w pokoju. Może kunszt deklamacyjny zdobywał mu serca i niepozwolił wszystkim dokładnie ważyć słów jego. Ktoby jednak uważniej przysłuchiwał się rozmowom Alfreda, byłby wnet spostrzegł, że zbyt często powtarza jedne i te same frazesa.

— My młodzi, mamy cięższe zadanie do wykonania, większą odziedziczymy odpowiedzialność, więc też i ściślej musimy się przygotowywać do przyszłej pracy. Nie możemy schlebiać tym, którzy pracowali przed nami, chociaż to ich tłomaczy, że w innych wyrośli warunkach, inną przeszli szkołę życia i jeśli wiele zaniedbali, to dlatego, że drogi wyjścia nie znali. Ale teraz czas do naprawienia złego, teraz każda chwila droga!

Poczciwi ziemianie kiwali głowami, na niektórych twarzach można było wyczytać smutek przemijający, a wszyscy powtarzali:

— Tak, tak, święte słowa... źle nam jest i trzeba coś radzić... Myśmy już za starzy, ale na was kolej!

— Żaden z myślących tak jak ja, nie cofnie się od pracy, chociażby najcięższej, dla dobra ogółu!

Szlachta rozrzewniona piła wiele, ściskała, całowała się, a kiedy zawołano: Kochajmy się! w niejednem oku zabłysła łza i spłynęła do kieliszka.

Pili wino, jak za dawnych czasów... ale i łzy pili, czego dawniej nie bywało...

I jakżesz nie mieli kochać tego, co ich tak rozrzewnił, który mówił tyle o spokojnej, uczciwej pracy i wierzył w dobry rezultat.

W Galicyi na zbyt słodką dolę nikt nie mógł się żalić. Bieda dokuczała, podatki uciskały, więc kiedy mówiono o pracy dla dobra ogółu, każdemu na myśli stanęła wioska z długów oczyszczona i podatki zredukowane do minimum. Więc cóż dziwnego, że się rozrzewnili?

Ściskali się, całowali i całem sercem przylgnęli do Alfreda.

Rozjechali się późno.

Na drugi dzień siedział ojciec przy śniadaniu, markotny, milczący. Kiedy Włodzimierz pojechał w pole, a Helena zajrzała do swego malca, chodził po pokoju zamyślony długo, jakby coś ważył. Wreszcie poszedł do Alfreda.

Zastał go przy biórku.

— Piszesz? — zapytał go.

— Tak.

— Wolno zapytać co?

— List do hrabiego R*.

— Znasz go?

— Ależ naturalnie. Jakże mógłbym z nim korespondować?!

— Poznałeś się z nim we Wiedniu?

— Tak jest; bywałem u niego często w towarzystwie najwybrańszych z kolonii polskiej.

— Co to za człowiek?

Alfred wzruszył ramionami i znowu uśmiech poruszył mu usta.

— Jest to jeden z najwybitniejszych mężów naszego kraju. U niego zbiera się wszystko, co tylko jest najlepszego. Jemu zawdzięczam znajomości pierwszorzędne. Salon hrabiego jest drugim parlamentem, sejmem...

— Więc tam nabyłeś wiadomości, któremi popisywałeś się wczoraj?

— Nie rozumiem tonu, którego ojciec używa...

— Pomówmy seryo. Słyszałem twoje wczorajsze rozmowy i zasmuciły mię. Jesteś zbyt młody, abyś mógł kogokolwiek uczyć, sam jeszcze mało umiesz...

Alfred roześmiał się głośno.

— Przepraszam cię ojcze najmocniej, ale o tej sprawie lepiej nie mówmy.

— Przeciwnie, chcę mówić, aby cię przekonać, jak niewłaściwem jest twoje zachowanie się. Milczałem długo. Z początku ufałem ci, potem nieszczęście pozbawiło mię sił, wreszcie sądziłem, że potrzeba ci się wyszumieć, ale dziś...

— Cóż dziś?

— Dziś pora zabrać się do pracy seryo.

— Ojciec sądzi, że nie pracuję?

— Nie widzę tego.

— To rzecz inna. Praca moja więcej warta, aniżeli sianie pszenicy i owsa, ja mam cel w życiu i do niego dążę..

— I dlatego obrażasz ludzi poważnych, zarozumiałością, lekceważeniem i głupotą.

— Mój ojcze!

— Ojcem jestem; prawo i obowiązek nakazuje mi powiedzieć ci wyraźnie wszystko. Jesteś młody, ale czas próżniactwa minął. Pokładaliśmy wielkie nadzieje w twoich zdolnościach, zmarnowałeś je. Wszystko co mówisz ma pozór słuszności i niby z nauki wypływa. Nie jestem uczonym, to prawda, lecz jestem ojcem i sercem odczuwam, co się w tobie, po za tym blichtrem ukrywa. Pustka świecąca z dala, na którą łapią się ludzie zacni, szlachetni, ufający każdemu słowu gorętszemu. My tu mniej umiemy, ale rozumiemy dobrze, co ziarno, a co plewa. Tylko dobre uprzedzenie, miłość, jaką nasz dom zawsze sąsiedzi otaczali i otaczają, mogły ci zjednać ich sympatyę. Nie poznali się na pustce, kryjącej się po za twymi frazesami. I jam przez różowe szkła patrzał na ciebie i ja roiłem sobie, żeś gwiazdą... dziś uprzedzenie znikło, sądzę trzeźwo, a kocham cię zawsze, więc chcę twego dobra. Mogę się i nie znać na tej uczoności, ale mnie wystarcza ton, jakim przemawiasz, ty, młokos, do ludzi poważnych, w pracy i trudach życia posiwiałych. Gdyby nie nieszczęście moje, nie pozwoliłbym ci był iść dalej tą drogą. Zawiniłem, ale chcę to naprawić, wybić ci z głowy tę głupią zarozumiałość...

— O pracy mojej i mojej nauce, ojciec nie ma pojęcia, zdolności moje i wiedzę ocenili już ludzie kompetentni; sąd ich ma dla mnie większe znaczenie pod tym względem...

Ojciec porwał się z krzesła, wpatrzył się w Alfreda zdumiony, jakby własnym oczom nie chciał wierzyć, że to syn jego śmiał coś podobnego powiedzieć. Twarz nabiegła mu kwią, zsiniała, a przez zaciśnięte usta przedarło się tylko jedno słowo:

— Błaźnie!...

Wyszedł chwiejnym krokiem z pokoju, patrząc przed siebie wzrokiem błędnym, jak pijany.

W kilka godzin potem szukano go po całym dworze. Helena zaniepokojona pobiegła w stronę cmentarza. Ojciec klęczał przed kratami kaplicy i płakał. Dał się zaprowadzić do domu, złamany, postarzały znów o lat kilkanaście.

Nie wychodził wcale z pokoju, nie chciał prawie nic jeść, a na pytania nie odpowiadał:

Smutek i trwoga zapanowały znowu.

Włodzimierz domyślał się, że powodem stał się Alfred, lecz nie chciał tego mówić żonie... Alfred pytany, czy nie wie co się ojcu nagle stało odpowiadał:

— Nie wiem.

— Pójdź do ojca, może tobie powie...

Nie chciał iść, lecz kiedy siostra wzięła go za rękę, nie mógł się opierać, aby nie zdradzić swej winy. Poszedł więc z nią, milcząc uparcie.

Helena otworzyła drzwi do pokoju ojca, stając w nich z bratem.

Ojciec siedział w fotelu zadumany. Zobaczywszy syna, powstał, wyciągnął rękę ku niemu istłumionym głosem wymówił:

— Nie puszczajcie tu, do mnie, tego błazna!...

Tajemnica została odkrytą, ale smutku nie rozpędziła. Z Alfredem nie mówiono nic, bo i siostra i Włodzimierz wiedzieli, że słowa ich poszłyby na marne. Spodziewali się tylko, że nie zostanie długo w Strzałkowie.

Istotnie wyjechał wkrótce znowu do Wiednia. Włodzimierz dał mu pieniądze, nie pytał po co jedzie, jak długo zabawi, rad był nawet, że ojciec nie będzie widywał syna, do którego miał żal, choć go nie tłomaczył nikomu.

Zdrowie Zagórskiego pogorszyło się znowu. Nic prawie nie jadł, siedział cały dzień w pokoju, czasem tylko wymykał się na cmentarz. Do małego wnuka uśmiechał się, ale go nie bawił. Helenę nieraz pocałował w czoło, popatrzał na nią chwilę i zamykał się z czarnemi myślami i zgryzotą.

W kilka miesięcy potem, dostał Alfred telegram donoszący o śmierci ojca.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Na białej górze.

(S o n e t.)

Wdzierałem się na Mont-blanc: już u drogi końca...
Przewodnik stanął. „Dalej — nie poszedł nikt z ludzi!"
Rzekł z cicha. Lecz ja pójdę... chcę zobaczyć słońca
Wschód i z samego szczytu.

Gdy się zbudzi,
Najpierw mnie musi swoim promieniem okrwawić.
Poniżej — dwie lawiny w bezdeń padły ciemną...
Gdybym się rzucił??... tylko Bóg mógłby wybawić!
Cały kraj Winkelrieda spał jak lew podemną.

Gdybym się rzucił?
Pierwej, niech na wschód popatrzę,
Może znaną mi rzekę ujrzę w pól kobiercu;
Wspomnień, skarbu wędrowca, nawet śmierć nie zatrze,

Lecz nad wschodem bez słońca, błądzi chmur czereda,
Jak widma nocy!......
.....Zszedłem z góry, z bólem serca,
Powtarzając szyderczo imię Winkelrieda!

E. H. de M.

JAN HUSS.

OBRAZ WACŁAWA BROZIKA.

Od lat kilku sława czeskiego malarza, Wacława Brozika, brzmi coraz rozgłośniej. Kierujący opinią świata artystycznego salon paryzki, do najświetniejszych gwiazd zaliczył dzieła tego artysty, chlubiąc się mistrzem, który pośród francuzów osiadł.

Myśmy dotąd dzieł Brozika nie znali i dziś dopiero dzięki Towarzystwu zachęty sztuk pięknych, możemy sprawdzić, że to co o nim mówiono i pisano nie jest przesadzoną pochwałą. W salonie Towarzystwa, oglądają tłumy ogromne płótno Brozika: „Jan Huss na soborze w Konstancyi”.

Stajemy przed obrazem, a podziw w nas się rodzi i wzrasta z każdą chwilą. Zda się, że przed oczyma naszemi zrobiono nagle wyłom w grubym murze wieków i odsłoniła się jedna z tych tragicznych scen, których widownią wieki średnie nierzadko bywały. Inne czasy, inni ludzie, inne życia warunki i poglądy oddaliły nas bardzo od owej epoki, a tylko wyobraźnia, może sobie tworzyć obrazy, gdy oko przebiega karty księgi dziejów. Artysta-malarz, obdarzony potężniejszą wyobraźnią, zapatrzony w dziejową przeszłość, żywiej odczuwa jej tragiczne momenta, a co duchem przeniknie, umie odtworzyć barwami. Historyk-psycholog odczuwa blaski, które owym dniom przyświecały i nic z nich nieuroniwszy, wiernie je na płótnie uwiecznia. To co dotąd urabialiśmy potęgą imaginacyi — dziś staje przed nami wyraźne, żyjące silnemi kontury, mówiące barwą i światłem.

Takie jest zadanie malarza-historyka, który chce imię swoje zapisać na kartach doczesnej pamięci i otoczyć skroń wawrzynem, trwającym świeżo wieki całe. Tak Brozik swe zadanie pojmuje i dlatego dziś już stanął w rzędzie mistrzów.

Fabuła jego obrazu prosta, znana dobrze.

Rzecz dzieje się w pośród murów gotyckiej świątyni w Konstancyi dnia 6 Lipca 1415 roku. Przez barwne okna przedzierają się promienie pogodnego słońca, niby silny kontrast wiecznego spokoju wszechświata, z tą tragedyą życia, która tak często szarpie łona ludzkie.

Na wspaniałym tronie, zasiadł cesarz państwa rzymsko-niemieckiego, Zygmunt. Na obliczu jego znać, że mu w tej chwili niemiłe myśli krążą po głowie, że go trapi niepokój i wstyd. Dał człowiekowi prześladowanemu list żelazny, zapewniający nietykalność osoby i wolność zupełną, a dał to zapewnienie temu, który na sąd zgodził się dobrowolnie, nie przed przemocą uchylił czoła.

Z dwóch stron obrazu, dwie wielkie grupy postaci są narysowane — środek pusty, niby przepaść dzieląca tych dwóch ludzi, którzy stanęli naprzeciw siebie. Po lewej kilku kardynałów i biskupów, a jeden z nich najpotężniej się wznosi. Stoi i zda się chciałby w tej chwili urość po nad świat cały, aby go wszyscy widzieli i mogli usłyszeć głos jego. Kościelne szaty go stroją, złota infuła błyszczy na ciemnem tle gotyckich murów. W rękach trzyma bulę papiezką, z ust wybiegają słowa głosem strasznym, pełnym grozy, potężnym, to słowa klątwy i wyroku śmierci. Oko mu się pali, jakby chciało dodać potęgi głosowi—słowem postać majestatyczna, doskonale uosabiająca żarliwość średniowiecznego księcia kościoła.

Oblicza jego towarzyszy, to niby akord, podnoszący siłę wrażenia, dominującego tonu grozy, w której znać potęgę panującą nad światem.

A tam po drugiej stronie widzimy człowieka w czarnej sukni. Postać szczupła; na twarzy, szyi i ręce znać długie przebyte cierpienia.

To bohater tragedyi, słuchający potępienia dzieł swoich i wyroku śmierci — Jan Huss. Czarne jego szaty, wyraźnie rysują się na tle smutnem — tam na krzyżu rozwieszono jego kapłański ornat, komżę i stułę, u stóp znaku zbawienia kielich ofiarny — wszystko to niedawno jeszcze było znamieniem godności Hussa — dziś przypomina mu, że nie ma żadnych praw, że kościół widzi w nim wroga zaciętego i niepoprawnego, że wreszcie niebawem powiodą go na stos, jako kacerza.

I jakież myśli mogą zajmować tego człowieka w tej chwili? Oblicze jego mówi nam to wyraźnie.

Wzniósł oczy w górę, ku promieniom słońca, ku niebiosom i twarzą całą zda się mówić: broniłem prawdy, lecz zginę raczej, aniżeli kłam zadam słowom moim. Żyłem dla wiary, lecz karciłem występki ludzi... za to idę na stos. Rękę wychudłą położył na piersi, jakby na znak przysięgi, której słowa duch w tej chwili wymawia.

Twarz Hussa i postać jego cała, to kreacya, która godną jest mistrza pierwszorzędnego. Niewiele równie pięknych można w dziedzinie malarstwa spotkać.

Czy Brozik był sprawiedliwym sędzią, tworząc Hussa takim, jakim go na obrazie widzimy, bohaterem-ofiarą?

Nie wdajemy się w sąd historyczno-religijny — naszem zadaniem sprawozdanie objektywne z tego, co na obrazie jest, na co patrzą oczy wszystkich. To pewna, że Huss na obrazie Brozika pociąga widza potężnie.

Jeszcze na dwie postacie zwracamy uwagę, to owi dwaj Czesi, którzy Hussowi na sobór towarzyszyli. Jeden z nich, starszy, osiwiały, pogrążył się w smutku i milczy, drugi za to, młodszy, czarnowłosy, a krzepki niby ze stali, mówi twarzą i oczami: będzie bój!

Całość obrazu prześliczna, kompozycya, akcesorya, figury, ugrupowanie, światło i cienie, wszystko to zlewa się w jedną wielką pieśń, harmonii i smutku pełną.

Każda twarz mówi niby żywa i widzimy jasno, że choć nikt miecza z pochwy nie dobył, bój tu się rozgrywa dziejowy, zapowiadający boje nowe, mające trwać wieki całe...

Twórca „Hussa”, człowiek w sile wieku, który przez ciernie szedł do sławy i mistrzowstwa, musi się wznieść jeszcze wyżej — a gdzie stanie? Któż odgadnie drogi geniuszu? Nieśmiertelny sięga w dziedzinę nieśmiertelności...

n.

MIŁOŚĆ.

Jeżeli tylko świat nie zachwieje i nie zmieni kobiety, wówczas jest wierniejszą od mężczyzny. Ona kocha więcej, szczerzej się oddaje.

W pochodzie za uczuciem nic jej nie wstrzyma. Jak strumyk w swem łożysku, jak wiatr w gęstwinie, w ciągłym jest ruchu.

Gdybyśmy jej zapytali jak się nazywa — odpowiedziałaby:—zawsze!

* * *

Kto kocha, tego miłość ma w swej opiece i zwiększa jego siły. Taki mężczyzna wierzy w kobietę, nie śmieje się z niej, i szczęśliwy nie popadnie w służalstwo słabości.

* * *

Kto idzie do pracy, zostawiając duszę kochającą i kochaną, która myśli tylko o nim, ten serce ma zawsze przepełnione radością i zadowoleniem. Nie zna służalstwa smutku.

* * *

Przez miłość wyzwala się człowiek z służalstwa pieniędzy.

Bardzo to prosta i dokładna rachuba. Dwie osoby razem, wydają mniej, aniżeli z osobna.

* * *

Chciałbym zmusić do obrachunku bezżenych, którzy zostają nimi z obawy wydatków w małżeństwie, a wydają niezaprzeczenie znacznie więcej.

Żyją bardzo drogo w kawiarniach, w restauracyach—same cygara stanowią wielki wydatek.

Dlaczegoż palą?

Ażeby zapomnieć — mówią. — Lecz nie ma nic okropniejszego jak zapomnienie.

Nieszczęśliwy kto zapomina cierpień, bo nie szuka na nie sposobu.

Człowiek, który zapomina o swych obowiązkach, zgubiony — on i kraj jego.

Jakaż to korzyść, posiadać u rodzinnego ogniska osobę kochającą, a której można powierzyć wszystko, z którą można radować się i cierpieć. Ona przeszkodzi zapomnieniu.

Trzeba cierpieć, kochać, myśleć — to jest prawdziwem życiem mężczyzny.

Jeśli kobieta nie ma przyjaciółek, które rywalizacyą rzucają ją w objęcia pragnień zbytkownych toalet, wówczas nie wydaje nic prawie. Ona zmniejszy wszystkie twoje wydatki, do tego stopnia, iż można powiedzieć:

— Cztery osoby wydają mniej, aniżeli jedna.

Jeśli małżeństwo jest rozumne i przewidujące, jeśli rodzina nie powiększa się zbyt prędko, kobieta zamiast być przeszkodą w swobodzie działania, staje się koniecznym warunkiem do jego rozwoju.

Dlaczego Anglicy, tak łatwo przesiedlają się z korzyścią dla Anglii i swą własną? Bo kobieta im towarzyszy.

Śmiało rzec można, że kobieta angielska przyczyniła się do zaludnienia pustkowi, które dziś

stały się bogatemi koloniami. Siła rodziny, stwarza w Anglii potęgę i wielkość państwa.

* * *

Czy zawsze będzie istniała różnica klas? Nie. Przeciwnie, klasy i rasy, zrównają się. Wszystkie dawne przedziały upadną przed wszechwładnym pośrednikiem, panią równości, miłością!

* * *

— Ona śpi, ta biedna mała; śpi, więc niegodzi się jej budzić, bo ona marzy o szczęściu, o miłości, o mnie... — mówi sobie mąż. — Gdybym mógł odgadnąć co sprowadza ten lekki uśmiech, który krąży koło jej ust? Co ona myśli, czego pragnie?

Ja ci powiem:

— Myśli tylko o tobie, bo żyje tylko dla ciebie.

Powie kto, że to zwykły komunał, lecz w nim się zawiera ewangelia małżeństwa.

Myśl kobiety śniącej mówi: — Mój przyjacielu, nie jestem silną, zdolną do wielkich rzeczy, tylko kochać i pielęgnować umiem. Nie mam twych ramion muskularnych, a kiedy długo myślę nad rzeczą zawiłą, krew uderza mi do głowy. Możem niezdolna do odkryć ważnych, nieposiadam zmysłu inicyatywy. Dlaczego? Bo zawsze widzę tylko ciebie, ku pracy twego ducha spoglądam.

Dla ciebie mam wdzięk, zmysł, siłę, cierpliwość, pomysły i doskonałość, bo ty jesteś istotą która mi uwije gniazdko z geniuszu i siły, stworzy świat harmonii i ładu, zakątek słodkiego pożycia i szczęścia. Po za tobą nie widzę łez, nie czuję cierpień radością przepełnione mam serce. Ty wiesz, że byłabym nieszczęśliwą w tem gniazdku, gdyby ciebie w niem brakło. Pragnę zatrzymać to szczęście!...

Treścią myśli kobiety — zawsze miłość.

* * *

Za pracę, podporę i opiekę męzką, ofiaruje kobieta siebie samą, oddaje serce zdolne do poświęceń heroicznych, bez granic. Kobieta stwarza raj dla drugich.

O IMIONACH KOBIECYCH OBCYCH.

Przełożyła z angielskiego

E. Franklin.

(Dokończenie.)

Felicya, od męzkiego *Feliks*, imię łacińskie, znaczy *szczęśliwość*, r. 1215.

Flora, imię łacińskie, znaczy *kwiat*, r. 1630.

Filipina, imię greckie, znaczy *lubiąca konie*.

Florencya, lub *Florentyna*, imię greckie, znaczy *kwitnąca*, znane już 1220 r., ale rozpowszechnione dopiero przy końcu zeszłego stulecia, po francuzku *Florence*, po angielsku spieszczone także na *Cessie*.

Franciszka, imię staro-niemieckie, od męzkiego *Franciszek*, znaczy *wolność*, po angielsku *Frances*, spieszczone na *Fanny*, r. 1390.

Fryderyka, imię staro-niemieckie, znaczy *silna w przeciwnościach*.

Gabryela, imię hebrajskie, znaczy *siła moja w Bogu*.

Genowefa, imię staro-niemieckie, znaczy *silna kobieta*, r. 1265, po włosku *Giverza*, po francuzku *Genévieve*.

Gertruda, staro-niemieckie, znaczy *cześć*, rok 1520.

Helena, imię greckie, znaczy *pociągająca*, rok 1205, po szkocku *Ellen*.

Henryka, imię staro-niemieckie, znaczy *zamożna*, po francuzku *Henriette*, po angielsku *Harriet*.

Honorata, od męzkiego *Honorius*, imię łacińskie, oznacza *honor*, r. 1490.

Hortenzya, imię łacińskie, znaczy *wspaniała*.

Irena, imię greckie, znaczy *spokój*.

Izabella, imię fenicyjskie znaczy *chwała Panu*, po hebrajsku *Jerabel* lub *Jochabel*.

Joanna, imię hebrajskie, znaczy *łaska pańska*, po angielsku *Jane* (czytaj *Dżein*), *Jenny*, po szkocku *Janet* (czytaj *Dżenet*), *Jeanie*, *Jessie*, po francuzku *Jeanne*, *Jeanete*, po włosku *Giovanna* r. 1200—1320.

Janina, przerobione w naszem stuleciu z imienia *Joanna*, po francuzku *Janine* (*Żanine*), po angielsku *Janina* (*Dżanina*), po włosku *Giovanina*, *Giovanitta*.

Józefa, imię hebrajskie, znaczy *opiekunka*.

Julia, imię łacińskie, znaczy *długo-włosa*, po angielsku *Juliana*, albo *Juliet* (*Dżuliet*).

Justyna, imię łacińskie, znaczy *sprawiedliwa*, r. 1262 r.

Jadwiga, imię staro-niemieckie, znaczy *waleczna*.

Kamilla, imię łacińskie, od męzkiego *Camillus*, znaczy *wielbłąd*.

Karolina, imię staro-niemieckie, znaczy *uprawiająca rolę*, po angielsku dawniej *Scharlot*.

Katarzyna, imię greckie, znaczy *czysty strumyk*, po angielsku *Kate* lub *Katie*.

Krystyna, imię łacińskie, znaczy *chrześcianka*.

Klara, imię łacińskie, znaczy *sławna*, r. 1152, po angielsku *Clarissa* lub *Clara*.

Klementyna, imię łacińskie, znaczy *litościwa*, po francuzku *Clémence*, r. 1230.

Klotylda, imię staro-niemieckie, znaczy *sławna kobieta*.

Konstancya, imię łacińskie, znaczy *wierna*.

Kornelia, imię łacińskie, znaczy *róg*.

Kunegunda, imię staro-niemieckie, znaczy *uprzejma królowa*.

Laura, imię łacińskie, znaczy *wawrzyn*.

Leopoldyna, imię staro-niemieckie, niedawno przerobione z męzkiego *Leopold*, znaczy *odważny jak lew* r. 1164.

Ludwika, prawdopodobnie pochodzi od francuzkiego *Louis* czyli *Clovis*, lub *Chlodovig*, co znaczy *zwycięzki*. Lecz także może być od greckiego *Lois* co znaczy *ostatni*.

Łucya, imię łacińskie, znaczy *zachód słońca*, po angielsku *Lucy*, po francuzku *Lucie*.

Magdalena, imię greckie, znaczy *kobieta z Magdala*, miasteczka niedaleko Palestyny, po francuzku *Madeleine*, *Madelon*.

Marta, imię hebrajskie, znaczy *rozjaśniona*.

Małgorzata, imię greckie, znaczy *perła*, po francuzku *Marguerite*, po angielsku *Meg* (*Medż*), lub *Daisy*, po szkocku *Maggie*.

Marya, właściwie po grecku *Miriam*, zamienione po hebrajsku na *Marya*, znaczy *goryczą napełniona*.

Matylda, imię staro-niemieckie, znaczy *cnotliwa niewiasta*, r. 1066, po angielsku *Maud*.

Natalia, imię łacińskie, znaczy *miła*.

Oktawia, imię łacińskie, znaczy *ośm*, r. 1200.

Paulina, imię łacińskie, znaczy *mała*, prawdopodobnie około r. 1300 przerobione na kobiece z męzkiego *Paweł*.

Petronela, imię greckie, znaczy *odłam skały*, po angielsku *Parnel*.

Regina, imię łacińskie, znaczy *królowa*.

Renata, imię łacińskie, znaczy *odrodzona*, po francuzku *Renée*.

Róża, imię łacińskie, po grecku *Rhoda*, po angielsku *Rosemond*, po włosku *Rosina*.

Sabina, imię łacińskie, znaczy *złe ziele*, rok 1249.

Salomea, z męzkiego *Salomon*, imię hebrajskie, znaczy *roztropna*.

Stefania, imię greckie, znaczy *myśląca*, rok 1376.

Teodora, imię greckie, znaczy *Boży dar*.

Teresa, przerobione z greckiego *Tirza*, znaczy *przyjemna*, po włosku w skróceniu *Zita*.

Urszula, imię łacińskie, znaczy *mały niedźwiedź*, *Ursa* niedźwiedzica.

Tadea, imię włoskie, znaczy *rozpieszczona*.

Walerya, imię łacińskie, znaczy *zdrowa*.

Weronika, imię greckie, znaczy *prawdziwy obraz*.

Wiktorya, imię łacińskie, od męzkiego *Victorius*, znaczy *zwycięzca*.

Wirginia, imię łacińskie, znaczy *dziewica*.

Zofia, imię greckie, znaczy *mądrość*.

Zuzanna, imię hebrajskie znaczy *czysta*, r. 1050.

Z pod naszej strzechy.

Dzisiejszą pogadankę wypełni literatura i nie może być inaczej. Warszawa żyła przez tydzień prawie literaturą, wszędzie o niej mówiono, dysputowano żywo — co tem dziwniejszem jest, że to przecież koniec karnawału i zdawałoby się, że wesołe tony muzyki, powinny zagłuszyć najdonośniejszy głos prelegenta.

A jednak stało się inaczej i — gdyby żył wpośród nas jaki Nostradamus, wywróżyłby z tego niezmiernie świetną przyszłość naszą na polu wiedzy i nauk pięknych.

Owo ogólne zainteresowanie się literaturą wywołał fakt, na pozór bardzo prosty.

Warszawskie towarzystwo dobroczynności, chcąc powiększyć swe fundusze, umyśliło urządzić prelekcye. Spodziewano się, że gdzie idzie o wsparcie ubogich, nawet karnawał nie oderwie czułych mieszkańców Warszawy od obowiązku niesienia pomocy tym, których niedola w tym roku bardziej niżli kiedykolwiek dotknęła.

Może nasi znani prelegenci niepotrafiliby publiczności rozbawionej zainteresować, lecz osobistość używająca zagranicą rozgłośnej sławy, Jerzy Brandes, obecnie jedna z pierwszych potęg umiejętności krytyki literackiej — to chyba dość silny magnes do pociągnięcia wszystkich tych, którzy bodaj trochę ruchem literackim w Europie zajmują się.

Przeczucie nie zawiodło, odczyty Brandesa miały ogromne powodzenie.

Powiedzieliśmy, że Jerzy Brandes używa w całym cywilizowanym świecie rozgłośnej sławy. Słusznie mu się to należy, jako twórcy zupełnie nowych poglądów, jako pierwszemu, który dotknął struny dotąd milczącej.

Nie mamy bynajmniej zamiaru streszczać tych jego odczytów, mianych w Warszawie — byłoby to zresztą niepodobnem, takie bogactwo materyału zawarł prelegent, a jednak tak mało dał pochwytnych szczegółów, któreby mogły się stać szczeblami pomocniczemi do wspinania się w ślad jego myśli.

To właśnie jest u Brandesa charakterystycznem i o tej jego właściwości należy pomówić.

Oryginalność systemu krytycznego Brandesa polega na tem, iż zarzucił zupełnie dawną metodę krytyków i historyków literatury, posługujących się zawsze i przedewszystkiem biografiami szczegółowemi. Dopiero około tych życiorysów szeregowali fakta, dotyczące życia ogółu, charakteryzowali ludzi i epoki, dochodząc wreszcie do rdzennych poglądów, rzucających światło na rozwój ducha w danej dobie.

Brandes postępuje zupełnie inaczej, a metoda jego nawskróś nowa i oryginalna, zyskała mu zasłużone uznanie w świecie uczonym.

Dla niego istnieją nie ludzie, lecz grupy, nie lata, lecz epoki, nie dzieła, lecz suma ich myśli — prądy. Te prądy stały się podstawą najznakomitszego dzieła Brandesa. (Główne prądy literatury XIX wieku), one uczyniły go twórcą nowej szkoły krytycznej, która szybko zdobywa sobie coraz więcej zwolenników.

System Brandesa ma jasną, wyrozumowaną podstawę i dlatego to trafia do przekonania uczonych i nieuczonych. Bo czemże są właściwie poszczególne dzieła, lub działanie tego, czy owego autora? Wszakże nie oderwanym objawem życia indiwidualnego, nie wytworem jednostki myślącej, nie pomysłem oderwanym od reszty świata i życia społecznego. Prawda, każdy z pisarzy-twórców z głębi własnego ducha snuje wątek do swych prac, własną myśl i duszę przelewa na karty, jest w dziełach swych sobą samym... A jednak, jest zarazem i czemś więcej.

Jest odgłosem prądów, nurtujących w głębinach społeczeństwa, ludzkości. Talentom, czy geniuszom danem jest przodownictwo w cywilizacyjnym pochodzie. One dają wyraz temu, co miliony czują, co w nich spoczywa bezwiednie i drzemie, czekając głosu donośnego, któryby ową siłę uśpioną do życia pobudził. Prądy nurtują w głębinach ludzkiego ducha, a na wierzch wyjść nie mogą, gdy je pokrywa gruba warstwa powszedniości, spętanej brakiem energii, lękliwością, owym zastojem ducha, który coraz bardziej się zaskorupia, martwieje, czekając siły ożywczej, budzącej.

Wtedy zjawia się geniusz, czy choćby tylko wybitniejszy talent, którego głównemi zaletami: świadomość i odwaga. Jak wulkan wybuchają, przełamując twarde skorupy, torują drogę prądom, które już teraz swobodnie i coraz szerszem korytem płyną, bez przerwy.

Otóż zgodzić się musimy na twierdzenie Brandesa, iż znaczenie tych prądów ważniejszem jest, aniżeli wszelkie biografie i komentarze do dzieł autorów, zajmujących wybitne w literaturze tego lub owego narodu stanowisko. Same objawy życia mogą być wielce ciekawe, lecz ciekawszem jest poznanie siły, która je wywołuje, która je budzi w pewnej epoce, na pozór zupełnie niespodzianie.

To jest przedmiotem badań Brandesa od początku niemal jego literackiego zawodu i to jego niespożytą stanowi zasługę.

Brandes poświęca się głównie studyom nad wiekiem dziewiętnastym. W odleglejsze czasy sięga o tyle, o ile w nich musi szukać przyczyn objawów życia późniejszego.

Okres lat kilkudziesięciu, na pozór niedługi, stanowi jednak obszar olbrzymi, a w dziejach literatury europejskiej nader ważny. Początek wieku naszego był widownią politycznych i społecznych przemian, często gwałtownych, a zatem, tem silniej oddziaływujących na sprawy żywotne. Społeczeństwa budziły się po długim letargu, organizma ich wstrząsały wydarzenia, dawno przygotowane zaniedbaniem i sennością. Zaczęły się budzić duchy potężne, które uderzyły w śpiących towarzyszy, wołając: wstawajcie, czas odżyć na nowo.

Znakomite swe badania w tym kierunku rozciągnął Brandes na wszystkie niemal nowożytne literatury. Słowiańskich tylko nie dotknął, zapewne w skutek nieznajomości języka. A jednak i tu znalazłby ciekawe materyały, bo i tu w bieżącem stuleciu rozgrywała się walka pomiędzy starym klasycyzmem a romantyzmem, budzącym się za popędem sił długo ukrytych.

Prelekcye Brandesa w Warszawie poświęcone były literaturze skandynawskiej i francuzkiej w obecnym wieku. I tu i tam panowało literackie pustkowie długo, dopóki nie wyrośli ludzie, których duch siłą wulkaniczną wydzierał się z głębi piersi i rwał się do czynu.

Romantyzmowi we Francyi, poświęcił prelegent dwa odczyty.

Dosadnie skreślił obraz stosunków społecznych i politycznych, które gwałtownymi przewrotami miały przygotowywać grunt dla odradzającego się życia umysłowego. Pragnienia drzemały w piersiach milionów bezwiednie — jedno silniejsze potrącenie powołało je do życia. Anglia dała dobry przykład. Jej geniusze torowały drogę innym, na kontynencie.

I oto rodzi się geniusz na ziemi francuzkiej — Wiktor Hugo. Jego pierwsze dzieła zapowiadały ważny przełom w dotychczasowych pojęciach społecznych i kierunkach literackich. Olbrzym tworzył arcydzieła, zdumiewające artyzmem, wstrząsające potęgą ducha i myśli. Chłodny wiersz klasyczny runął z piedestału, na którym długo królował. Wiktor Hugo otworzył oczy swoim ziomkom i zdawało się wszystkim, iż dotąd byli w pętach niewoli zimnego klasycyzmu i — oburzyli się na własną pokorę, z jaką to panowanie znosili. Rzucili się więc na niedołężnego starca, który nazwał się klasycyzmem i zdzierali z niego szaty królewskie, druzgotali jego piękne, wymuskane członki.

Wiktor Hugo był kierownikiem nowego prądu, lecz nie był wcieleniem społeczeństwa, które rozpętawszy raz stare formy, szalało.

Znalazł się inny, który wyrósł z krwi i kości tego społeczeństwa, miał wszystkie jego wady i zalety, pragnienia i szały — tym był Alfred Musset.

W nim jednym odbiła się cała ówczesna francya i dlatego stał się ulubieńcem wszystkich. Życiem zarówno, jak i dziełami dawał dowody, że nie jest niczem innem, jak tylko wcielonem społeczeństwem, które musiało trochę pohulać, zażywszy, dawno nieznanej swobody ducha.

Krew kipiała w poecie, kipiała więc i w jego dziełach, pełnych rozpaczy, szalonej ironii, niewiary i zwątpienia. Te wszystkie tony odzywały się silnie w całem społeczeństwie — Musset był więc tylko ich echem. Społeczeństwo czuło — on temu uczuciu dał wyraz.

Niebawem zyskał żarliwą wspólniczkę, która życiem i piórem dopomagała mu do szerzenia nowego prądu. Była to sławna George Sand.

Kobieta śmiała, łamiąca przesądy, które dotąd krępowały życie kobiety, czynem i słowem gorącem apostołowała nową wiarę: wyzwolenia się z pod jarzma form konwencyonalnych.

Ile złego zdziałała — o tem chyba mówić nie trzeba — nie jej to zresztą mogło być winą. Zapalna myśl padła na stosy ognia chciwe i buchnął pożar rozpasania form, prawdziwa rewolucya powstała.

Przodownicy tego kierunku dopełnili wielkiego dzieła — obalili to, co dawniej było złem, przeżytem — jeśli mimowiednie zasiali i złe ziarno, winić ich nie można. Mieli siłę burzenia — nie umieli budować.

Później dopiero na gruzach starych gmachów zaczęto budować nowe.

To zwykła kolej każdej reakcyi — a reakcye, to najważniejsze objawy życia duchowego i literackiego. Nie dziw więc, że na nie tak baczną uwagę zwraca Brandes, któremu nie o formę, lecz o ducha, nie o objawy, lecz siły chodzi głównie.

Kiedyś może obszerniej pomówimy o zdobyczach naukowych Brandesa — dziś musimy poprzestać na tej krótkiej wzmiance.

Chcieliśmy tylko zaznaczyć główne wytyczne tego potężnego ducha-analityka, który wywołał w poglądach literackich prawdziwy przewrót.

Znana to rzecz, że każdy wielki i oryginalny talent ma w sobie pewną dozę radykalizmu. Musi go mieć i Brandes...

PRZEGLĄD LITERACKI.

Miron, Poezye. Warszawa, nakład T. Paprockiego i S-ki.

Mamy przed sobą książkę zapomnianego poety. Kiedyś znali go wszyscy, bo pisał i przypominał się czytelnikom, a błyskotliwą formą wabił do swych utworów, pełnych myśli gorących, buchających namiętnością i szlachetnym ogniem. Życie wydawało mu się zimnem, ludzie lodowatymi, zaskorupionymi w pracy dla chleba, ruszającymi się tylko w pogoni za złotem.

Sąd taki, oparty na pewnych spostrzeżeniach, nie mógł być stosowany do ogółu — lecz poeta zapaleniec, patrzał przez krwawe szkła i krwią pisał swe poezye. Sam dobrze o sobie mówi, spowiada się z pobudek, które mu wplątywały się w natchnienie.

Z wiarą i zapałem
W tę puszczę prozy pochmurną i nudną
Wszedłem i próżno dokoła szukałem
Anioła, choćby z jednem skrzydłem białem.

I żyć nie mogłem w zgodzie z całym światem,
Bom ani podłym był, ani idyotą,
A jeślim szydził nad upadłym bratem,
To z bólu serca, że on upadł w błoto,
Choć miał przed sobą celów gwiazdę złotą.

Pieśni zaś moje, byli to rycerze,
Nie w stal zakuci, lecz z piersią otwartą,
Bom ich wysełał, by nieśli w ofierze,

Wszystkim wieść taką, z serca krwią wydartą,
Że je też trochę kochać było warto.

Piękny ten ustęp, odkrywający duszę i serce poety, daje pojęcie o całej poezyi Mirona. Kochał i cierpiał. Dokoła widział tylko cierpienie i łzy i zdawało mu się, iż „Świat ma uśmiechy, że aż serce pęka!"

Sam sobie dolewał trucizny, poił się goryczą rozmyślnie — więc nie dziw, że się w tem nieustannem szamotaniu złamał, zmarnował talent, zerwał struny lutni i zamilkł na zawsze, choć życie fizyczne jeszcze tlić nie przestało.

Poezyę szczerze ukochał i z zapałem się jej oddawał, choć z żalem wołał:

I cóż winnaś poezyo, że nie dajesz chleba?
Że gdy kogo ukochasz—najczęściej ma kwiaty,
Lub złoty laur na czole, lecz na butach łaty,
I zimą bez paltota liczy gwiazdy nieba...

Miron należy do tych talentów, które złamała gorączka pragnień. Ludzkość kochali, lecz niechcieli, czy nieumieli patrzeć na nią spokojnie, sądzić ją i jej potrzeby wytrawnie. Byli to ostatni u nas poeci-burzyciele ze szkoły Byrona, Heinego i Musset'a.

A jednak warto przypatrzeć się temu, co tworzyli i pisali. To pewna, że kierowały nimi pobudki zacne. Cóż winni, że zapóźno, czy też zawcześnie na świat przyszli?

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** Niejaki p. Scherner z Wiednia przybył do naszego miasta, z zamiarem urządzenia kolei elektrycznej kilka wiorst długiej i w tym celu rozpatruje się w miejscowościach leżących za rogatkami. Po obraniu miejsca i kierunku, zamierza porozumieć się z magistratem, a następnie udać się do Petersburga, dla uzyskania koncesyi, co zdaje się nie będzie trudnem, skoro kolej tę p. S. chce urządzić własnym kosztem. Jeśli miejscowość dobrze będzie wybrana, a cena biletów nie wysoka, to rzeczywiście przedsiębiorca mógłby mieć wielkie korzyści — wszak każda niemal nowość popłaca.

*** Korespondent z Nowej Aleksandryi pisze do „Kuryera Warszawskiego":

„Z mieszkańców wiosek, leżących w naszym powiecie, na szczególną uwagę zasługują włościanie sioła Wólka chotecka.

Odznaczają się nietylko pracowitością i oszczędnością, lecz zarazem wielką zapobiegliwością około zabezpieczenia swych pól, leżących na powiślu, własnym bowiem kosztem i pracą swych rąk zabezpieczyli swe niwy przed powodzią, wysokim wałem.

Ochrona ta przyniosła im w r. z. nieocenioną przysługę, powódź bowiem świętojańska, która mieszkańcom wiosek sąsiednich wyrządziła straty kolosalne, nie dosięgła swą niszczącą dłonią pól włościan Wólki choteckiej, dzięki tylko usypanemu przez nich wałowi.

W ostatnim czasie, kiedy woda w Wiśle dosięgła do 9 stóp wysokości i skutkiem tego była bliską wylewu, włościanie nasi zabrali się natychmiast do zaopatrzenia swego wału ochronnego, oczekując ze spokojem spodziewanej katastrofy.

Nie zapominają również i o świecie, abonują bowiem kilka egzemplarzy „Gazety świątecznej", dzieci zaś swe posyłają do gimnazyum lubelskiego, sandomierskiego, lub też do seminaryum nauczycielskiego, znajdującego się w Solcu, w gubernii radomskiej.

Wólka chotecka — to godny wzór do naśladowania dla mieszkańców innych wiosek!..."

*** Francuzi umiejący oceniać zasługi i naukę naszego ziomka, słynnego okulisty Ksawerego Gałęzowskiego, dopilnowali liczby chorych, jaka przez klinikę jego przechodzi i złożyli mu obecnie w darze piękny utwór sztuki w terrakocie, z napisem:

„Doktorowi Ksaweremu Gałęzowskiemu, na pamiątkę „stotysiącznego" chorego w jego klinice."

Uznanie to tem większego nabiera znaczenia, że między ofiarodawcami nietylko się znaleźli ci, co uczonem słowem profesora od dość dawnego czasu się żywią, ale także największe lekarskie znakomitości francuzkie, a na ich czele słynny Pasteur.

Po ofiarowanym jubilatowi darze, nastąpił składkowy dla niego obiad, a ci z najznakomitszych, którzy na nim znajdować się nie mogli, przysłali bądź swoje karty wizytowe, bądź odpowiednie telegramy.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** Ogień podziemny gore od pewnego czasu nad brzegami Tamizy pod Woolwich. Powstał pod szeroką i długą groblą, utworzoną przez wożenie na to miejsce od wielu lat odpadków z arsenału, jak popiołu i t. p. Na grobli tej zamierzano wznosić budynki, a gdy dostrzeżono ogień, nie przypisywano mu wielkiego znaczenia. Obecnie pożar podziemny objął już akr gruntu i ze względu, iż zaledwie o pół mili oddalony jest od składów prochu, grozi wielkiem niebezpieczeństwem. Woda, pompowana wielkiemi ilościami na płonącą groblę, nie odnosi żadnego skutku; rozpoczęto tedy kopać dokoła, 20 stóp głęboki rów dla przecięcia dalszego szerzenia się płomieni.

*** Z Włoch dochodzą ciągle smutne wiadomości. W Mont Cenis komunikacya z okolicą zupełnie przerwana; telegraf funkcyonuje tylko w niektórych miejscowościach. Lawiny śnieżne przyprawiły o śmierć znaczną liczbę osób; dokoła straszliwe spustoszenie.

*** Na świętą Bożego Narodzenia, urządzono w z. r. dla włoskiego następcy tronu choinkę z oświetleniem elektrycznem; pomiędzy podarkami zawieszono kilkadziesiąt portretów, a w ich liczbie dwa pięknie oprawne wizerunki Mickiewicza, ofiarowane przez prezesa Akademii jego imienia.

*** Smutny rejestr.

Wychodzące w Stanie Michigan „Echo", w numerze z d. 10 grudnia r. z., zamieściło artykuł p. t. „Sceny ubóstwa w dzielnicy polskiej", obejmujący opis okropnej nędzy, panującej w tem mieście wśród rodaków naszych. Autor artykułu wymienia liczne niestety nazwiska osób, literalnie umierających z głodu.

*** Ks. Feliks Rożański dotychczasowy bibliotekarz Eskurialu, mianowany został kanonikiem przy metropolii w Tarragonie. Król Alfons nadał mu tę godność w nagrodę zasług położonych około wspomnianej biblioteki.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Aleksandrze Orzelskiej z Janowczyna. Prosimy o dokładny adres, ażebyśmy mogli list wysłać.

Od Redakcyi.

Druk zapowiedzianych czterech powieści historycznych dla dzieci, niebawem się ukończy, prosimy więc o jaknajrychlejsze nadsełanie przedpłaty, która wynosi:

W Warszawie 1 rs.

Na prowincyi, w Cesarstwie i zagranicą, z przesyłką 1 rs. 15 kop.

Jest to cena niesłychanie nizka, gdyż wszystkie cztery powieści obejmą trzydzieści kilka arkuszy pięknego druku.

W księgarniach i dla tych, którzy przedpłaty z góry nie uiszczą, cena czterotomowej seryi będzie 2 rs.; z przesyłką 2 rs. 15 kop.

Zawiadamiamy przytem, że nowoprzybyli prenumeratorowie mogą nabywać zeszłoroczne premium (oleodruki), jak długo zapas starczy, po cenie:

Premium „Tygodnika Mód i Powieści" w Warszawie 30 kop.

Z opakowaniem i przesyłką 60 kop.

Premium „Przyjaciela Dzieci", w Warszawie 15 kop.

Z opakowaniem i przesyłką 40 kop.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Widok Nr 3.

ZAWIADOMIENIA.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Февраля 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 20.

Dodatek.